

— Przed Komisją Weryfikacyjną staje śledczy Arlekin Guise, lat 28, kawaler, bezdzietny. Ukończył Wydział Nauk Ścisłych i Technicznych, następnie został zwerbowany do pracy w Instytucie Rozwoju Aberracji i Nadrealnego Absurdu przez niejakiego... Ichaboda Crane'a, dyrektora odpowiadającego za dział zajmujący się łapaniem upiorów. Zgadza się?

Przed gigantycznym, sędowniczym pulpitem stał przygarbiony brunet, który niemo kiwnął głową na zapytanie przewodniczącego Komisji.

— Proszę odpowiedzieć werbalnie — obsobaczył krótko przesłuchiwanego dziad, co miał skórę pomarszczoną jak papierek po mordoklejce.

— Zgadza się, o wielki Myrddinie — odpowiedział niechyżo młodzieniec, wykręcając przy tym nerwowo palce u rąk.

— Prawdą jest też to, że wraz z Crane'em odesłaliście Jeźdźca Bez Głowy z powrotem do Sennej Doliny. Potwierdzisz?

— Wielki Myrddinie, ale po co mam to potwierdzać? Sam mnie odznaczałeś za to orderem z mlecznej czekolady i przeniósłeś do głównej siedziby FIRAN-y.

— Uważaj sobie, krnąbrny kmiotku! — zaryczał przewodniczący tak, iż Guisem potrzepało. — Ja zadaję pytania, a ty grzecznie odpowiadasz! Kochajmy się jak bracia, ale sądzmy jak w Norymberdze. Potwierdzasz to, że brałeś udział w akcji w Sennej Dolinie?

— Potwierdzam — mruknął skonsternowany.

— Zacnie, Arlekinie, zacnie. A teraz przejdźmy do meritum, przez które musiałeś stanąć przed obliczem Komisji. Sprawa związana bezpośrednio z Sybillą Kumańską. Chciałbyś przybliżyć moim uszom szczegóły sprawy?

Guise mimowolnie drgnął, czując, jak chłodny pajączek wspomnień schodził mu z karku wzdłuż kręgosłupa, wpijając odnóża w pospinane mięśnie. Garb pogłębił się pod ciężarem zlodowaciałego bólu, płuca skurczyły się jak baloniki wypompowane z resztek powietrza. Panika. Popłoch. Potrzeba zapalenia, choć nigdy nie palił. Potrzeba wychylenia butelki bromu, choć nigdy nie pił więcej, niż stakan dziennie.

Dlaczego ten zszarzały dziad znęcał się nad nim? Przecież już przesłuchiwał go każdy inspektor, nadinspektor, przedinspektor oraz poinspektor. Zdybał się nawet z psychologiem. Po dziś dzień pamiętał, jak terapeuta kazał mu nazywać wszelkie bolączki nie „problemami”, a „wyzwaniami”. Od tamtego momentu, Arlekin miał wyzwania ze swoją głową.

— A więc... — zaczął z ewidentnym bezdechem Guise. — za górami, za lasami...

... Tam, gdzie był wieczorny poranek i diabeł już mówił dobrydzień, a psy szczekające dupami zaczęły zwijać asfalt z dróg, stał okazały zamek o okrągłej liczbie zero wież i licznych oknach w tychże właśnie basztach. Niegdyś zamczysko znajdowało się w elfim lesie, ale w momencie, kiedy Drwal Rębajło zaczął trenować ścinkę drzew, zamieniając puszcę w Saharę,

postanowiono całą fortyfikację przenieść na kurzych łapkach za Rzym, za Krym oraz za Władysławowo. Finalnie, twierdzę osadzono przy wylotówce z Atlantydy.

Przed wrotami Fantazmatycznego Instytutu Rozwoju Aberracji i Nadrealnego Absurdu stała rudowłosa piękność o piersiach godnych matrony oraz biodrach szerokich tak, że swój skórzany pasek musiała zapiąć na ostatniej dziurce. I nie, nie była gruba! Po prostu przyjemnie dorodna.

Dwuskrzydłowe drzwi przypominały bramy nie do sforsowania nawet przez rogaty łeb Minotaura. Zresztą, nie planowała napadać na Instytut. Tuż obok drzwi widniał domofon, przy którym majstrowały Świnki Trzy będące na etacie.

— To prawda, że elektryk myli się tylko raz? — pytał świniak numer jeden.

— Nie wiem, ale mój stary był elektrykiem i faktycznie kopnął w kalendarz po tym, jak go prąd popieścił — odpowiedział numero duo.

— Idioto, mamy tego samego ojca — dodała naburmuszona trzecia świnka.

— Nie mamy, tylko mieliśmy — poprawił dwójkowy wieprz. — Tęskni mi się za ojcem.

— A mi nie. Zamiast jakiejś tablicy rozdzielczej z przebicciem, zabił go język wsadzony w gofrownicę. Skwierczał przy tym jak bekon na patelni.

— Cóż za wybitny, kanibalistyczny żarcik! — zachrumkała pozostała brać, a kiedy zauważyli rudowłosą ślicznotę za plecami, momentalnie się ogarnęli.

— Najmocniej was przepraszam, moglibyście mnie wpuścić do Instytutu? — zagaiła przyjemnym głosem dziewczyna, co jej twarz przypominała magnum opus spod dłuta Michała Anioła.

Świnki zawiesiły na niej wzrok dłużej, niżli grzeczność tego wymaga, lecz niezręczną sytuację uratował domofon, z którego zawył alt sekretarki:

— O, chyba dzwonek już działa! Słyszę, że ktoś tam doprasza się wpuszczenia, więc ten... no... Wieprze, wpuście ją!

I wpuścili.

Właścicielka burzy rudych loków trafiła w głównym holu na kontuar, przy którym stała właścicielka domofonowego głosu.

— Witam w Fantazmatycznym Instytucie Rozwoju Aberracji i Nadrealnego Absurdu, nazywam się Morrigan. Przepraszam cię za tamtych głąbów. Odkąd pojawili się w naszym świecie, próbujemy znaleźć dla nich zajęcie. Słabo szło im w budowlance, więc wzięliśmy ich do elektryki. Zaimponowali nam tym, że zrobili obejście licznika gazowego i podpięli się pod słup energetyczny w niezbyt legalny sposób. — Dziewczyna zaśmiała się promiennie, traktując z zupełną spontanicznością słowa, które mogłyby zagrozić reputacji Instytutu. Ba, Morrigan wcale nie zamknęła jadaczki, tylko terkotała dalej. Rudowłosa toteż zdążyła poznać przy okazji historię o Doktorze Pladze, który każdego chorego traktował siedemnastoma słoikami pijawek, a kiedy jego rekonwalescent bladł...

— Pytał się go wtedy, „jesteś wampirem?”. A ten mu odpowiada, że „nie”. A tamten do niego, że „tak mówi prawdziwy wampir”, po czym wbił mu kolec w serce. Rzezimieszek z naszego Doktorka!

— I co, nie boicie się, że ktoś się o tym dowie? — zapytała płomiennowłosa.

— Właśnie się dowiedziałas, i co? — skontrowała Morrigan, po czym jej euforia przerzedziła się jak ilość mieszkańców w Pompejach roku 79. — No ale koniec z tymi swawolami. Nim cię odeślę do odpowiedniego pracownika FIRAN-y, przeprowadzę z tobą krótki wywiad. Proszę o twoje personalia i świat, z którego pochodzisz.

— Nazywam się Kasandra, a pochodzę... no... No stąd — wyjąkała niepewnie, jakby ta prosta odpowiedź przerosła jej intelekt. — Sęć w tym, że ja przychodzę w innej sprawie.

— Stąd? Czyli co, nie jesteś fantazmatem? — Zareagowała z niemałym szokiem Morrigan, notując szybko ogryzkiem żółtego ołówka. Widać było, iż sprawna z niej sekretarko-protokolantka, bo nawet chamsko wpadająca w oczy kruczoczarna grzywka nie odciągnęła jej od powierzonych zadań.

— Nie rozumiem.

— Hm... przyjmijmy więc, że jesteś Dziewczynką z zapałkami, zgoda? — Ruda przytaknęła, czekając na wyjaśnienia sekretarki. — Nie zostałeś stworzona przez Boga, w którego wierzysz ty lub społeczeństwo, w jakim się wychowałeś. Zostałeś stworzona przez Literata, w tym przypadku, Hansa Andersena. Rozpisał ciebie, twój świat i życiorys. A ty, moja droga — Morrigan wymierzyła szpic rysika w jej pierś. — wyrwałaś się ze sztywnych ram fabularnych. Stałaś się symulakrum, które żyje we własnej rzeczywistości. Sęć w tym, że jedynym realnym światem nie jest ten, w którym odzyskałaś wolną wolę, ani też nie ten, w którym byłaś uwięziona przez Literata. Prawdziwym światem jest świat, gdzie powstała FIRANA. Midgard, Ziemia, Śródziemie. Jak zwał, tak zwał. Teraz musimy tylko dociec, skąd się wywodzisz. Może znasz swojego autora?

— Uch... Zeus? — odpowiedziała z takim zawahaniem się, jakby właśnie zagrała o milion denarów w teleturnieju.

— Ach, więc śmiało mogę obstawić mitologię grecką. Będzie co prawda ciężko ustalić twórcę twojego mitu, ale to już jest istotne na tyle, na ile istotny bywa pisuar na basenie — wymruczała sekretarka, wypisując dane w kartotece. Dopiero teraz Kasandra zauważyła, iż ani na recepcji, ani też w samym holu nie było żadnych urządzeń elektrycznych. Pod sufitem żyrandole ze świecami z wosku pszczelego, na stolikach złote kandelabry. Zamiast telefonu klatka z gołębiem pocztowym oraz papierowy kubek na sznurku, który ginął gdzieś za drzwiami. Jak w takim razie Morrigan korzystała z domofonu?

Wracając do Morrigan, ta już skończyła wypełniać kartotekę Kasandry. Machnęła szybką parafkę za pomocą ołówka z nazwą słynnego sklepu budowlanego, postawiła stempel z pełną nazwą FIRAN-y i voilà!

— Gratuluje! Została pani zarejestrowana w bazie Instytutu. Może teraz pani ubiegać się o azyl u nas lub też poprosić o odesłanie do własnego symulakrum.

— Co ty bredzisz?! Na świętą Atenę, nie domagałam się żadnej rejestracji! — wydarła się z wyraźną animozją na recepcjonistkę. — Ja potrzebuję odnaleźć swoją siostrę, Sybillę! Zaginęła ponad miesiąc temu, a ty mi teraz trujesz tyłek jakimś międzyświatowymi emigracjami! Moje nerwy są już zmurszałe jak... jak coś, co jest zmurszałe, więc albo oddelegujesz mnie do kogoś wyżej, albo ci trzasnę w ten czarny cymbał!

Morrigan przytknęła uszy palcami, nie potrafiąc zdzierżyć tej ogłuszającej palby. Podobnie zachował się gołąb pocztowy o przydomku Szeregowiec Dolot, który próbował nakryć własny łebek białymi skrzydłami. Krzyk Kasandry na tyle rozniósł się po sali, iż wybudził ze snu Morfeusza, drzemiącego akuratnie na kanapie w poczekalni.

— Sprawa Kasandry oraz jej zaginionej siostry trafiła na twoje biurko, tak? — dopytał Myrddin, choć doskonale wiedział, jak ten epizod z życia Arlekinia przebiegał. Krok po kroku.

— Tak. W tamtym momencie byłem jedynym wolnym śledczym w wydziale zaginionych fantazmatów. Miałem poprosić Mycrofta Holmesa, żeby mnie zastąpił, ale akurat poszedł ratować swojego brata przed jakimś szalonym profesorkiem. Myślałem jeszcze o Herculesie, jednak temu został tydzień urlopu ze swoim mitycznym imiennikiem.

— Dlaczego nie chciałeś przyjąć tego zlecenia, Arlekinie?

— Coś... coś mi nie pasowało w tej kobiecie...

... Może to ten pobudzający zapach figi i moreli, a może nienaturalnie naturalna uroda Kasandry.

Arlekin przypatrywał się jej nadwyras długo, z jednej strony próbując się zabawić w kinezykę, a z drugiej cieszył oko oszałamiającymi kształtami swojej klientki. Czy to nieprofesjonalne? Oczywiście, że tak, ale z niego żaden profesjonalista, toteż mógł pozwolić sobie na chłopską nieelegancję.

Rudowłosa cicho chrząknęła, wynurzając mężczyznę z wyraźnego amoku.

— Ekhem, więc tak... skończyliśmy na tym, że twoja siostra...

— Przybrana.

— Tak, przybrana, zaginęła miesiąc temu w niewyjaśnionych okolicznościach. Możesz mi pobieżnie przybliżyć waszą historię?

Powieka Kasandry lekko drgnęła. Najwidoczniej Arlekin uderzył w bolesną strunę wspomnień, na której teraz właśnie kobieta musiała zagrać.

— Ja oraz moja siostra jesteśmy wieszczkami, przepowiadającymi przyszłość w trakcie ekstazy.

— A ta ekstaza jest wywołana... — przeciągnął niesubtelnie głoskę.

— Chodzi panu o orgazm?

— Nie powiedziałem tego.

— Ale pomyślał pan.

— Jest pani wieszczką czy telepatką?

— Zakrawa to o swoistą rozkosz wymieszaną z szaleństwem. Jest to jednak obecne wyłącznie przy koneksji duszy z Bogiem. W moim przypadku łatwo popaść w taki trans, a w przypadku Sybilli... cóż, jako pytia, potrzebuje stymulatorów. I nim znowu pan przeciągnie słowo w tym dwuznacznym tonie, powiem, że chodzi tutaj o środki halucynogenne.

— Narkotyki? — zapytał z wyraźną nutą zainteresowania, wypełniając osobisty notes nieczytelnymi szlaczkami.

— Oleander. Przy jego spalaniu, opary wdrażały ją w euforyczne doznania, przy okazji rozpraszając jej skrupuły oraz poczucie bólu. Wtedy była w stanie przepowiedzieć przyszłość, choć nieraz kończyło się to tragicznie. — Kobieta zakleszczyła boleśnie palce na własnym ramieniu, przez co odcisnęła na skórze niedokrwione, blade ślady.

— Chcesz zrobić przerwę, Kasandro? Może szklaneczki whisky albo bromu?

— Nie, nie. Ja muszę ją znaleźć, Arlekinie.

— Więc kontynuujmy — zezwolił, wykładając się na obrotowym krześle biurowym.

— Trans pytii nigdy nie należał do bezpiecznych. Niejednokrotnie popadały w padaczki albo konwulsje. Słyszałam nawet o przypadku, gdzie jedna z wieszczek skończyła w głębokiej śpiączce.

— Bałaś się, że Sybillę też to spotka? Pokłóciłyście się i uciekła z waszego symulakrum?

— Nie. Bałam się o jej uzależnienie, bo zaczęła zażywać oparów poza wróżbiarskimi sesjami. Kiedyś nawet ją przyłapałam na tym, jak wcierała sobie balsam z oleandra w ciało oraz śluzówkę. A ja, idiotka, wierzyłam, że to kremy z Avonu...

— Hej, spokojnie, nie obarczaj siebie winą. Wszystko, co robiłaś, robiłaś dla jej dobra. A siostrzane klótnie to nic...

— Nie przez to uciekła, śledczy Guise — przerwała mężczyźnie i korzystając z okazji, zrobiła pauzę na krótkiego papierosa.

Z głębokiej kieszeni alabastrowej sukni wyciągnęła papierośnicę, w której leżały cygaretki o bardzo nieprzyjemnym odorze, rujnującym swoimi nutami kobiecy zapach moreli. Nie poprosiła Arlekina o dżentelmeńskie przypalenie koniuszka papierosa; sama odebrała mu z biurka plastikową zapalniczkę.

— Też palisz, Arlekinie? — zapytała bez głębszego zainteresowania, chcąc zabić w sobie rozżalenie i złość zbliżoną do cierpkości wina z młodych winogron.

— Jedynie w piecu. — Mężczyzna wstał i podszedł do wazonu z ogromnym filodendronem, mieszczącym się tuż obok krzesła klientki. Zamierzał go podlać za pomocą butelki z atomizerem, kiedy to Kasandra zrzuciła papierosowy popiół tuż pod łodyżki rośliny.

— Wybacz, nigdzie nie było popielniczki — odparła beznamiętnie i kontynuowała. — Wracając do wydarzeń sprzed miesiąca, to nie siostrzana sprzeczką zmotywowała ją do ucieczki. Tylko mord wśród pytii.

Guise nacisnęła parę razy spust rozpylacza, zraszając wodą tłący się popiół pod łodygami rośliny. Nie oderwało to jednak jego uwagi od kobiety, która rozbudzała w jego pamięci dodatkowe wspomnienia.

— Słyszałem o tym. Co tydzień ginęła kolejna wieszczka. Każda w identycznym schemacie: poderżnięte gardło w trakcie transu. Nie wiadomo, komu wróżyła, ani jaką przyszłość miała przepowiedzieć.

— Wiesz coś więcej w tym temacie? — zapytała pełna nadziei, odwracając głowę w stronę Arlekina, który dalej czuwał nad donicą z liściastą rośliną.

— Poza tym, że FIRANA nie potrafi rozpisać profilu mordercy? Niewiele. Zresztą, to śledztwo się ciągnie, odkąd pamiętam. Pierwsze pogłoski pojawiły się na długo przed moim przyjściem do Firmy.

Ciche pukanie do drzwi.

Nieznany Kasandrze jegomość wychylił głowę zza framugi i wyglądał żabim okiem za Arlekinem. Zresztą, nie tylko oko było żabie. Łeb też należał do ropuchy.

— Arli, jesteś?! — zarechotał ropuch, wydymając fałdę na szyi.

— Czego chcesz, Książę? Mam klientkę.

— A, czyli dzisiaj cię nie będzie na gali?

— Jakiej gali? — zapytał zaintrygowany Guise.

— Koziółek Matolek będzie walczył w klatce z poznańskimi koziołkami. Mówię ci, niby dwa na jednego, a jednak zwycięzca nie jest taki oczywisty!

Brunet zawiesił wzrok na żabiej mordzie i stał tak chwilę, analizując sytuację, w jakiej się znalazł. Pójść obejrzeć walkę stulecia czy pomóc zagubionej ślicznotce, która nie odwzajemnia zainteresowania śledczym z FIRAN-y?

Zamiast odpowiedzieć, strzelił wiązką wody po oczach Księcia Ropucha, który cicho zakumkał i trzasnął zdenerwowany drzwiami.

— Na pana miejscu wybrałabym jednak wyjście na galę — mruknęła cicho, choć w jej głosie dało się słyszeć nutkę satysfakcji.

— Odkąd się dowiedziałem, że Żwirek kręci z Muchomorkiem, mało co mnie może zaskoczyć. Guise wrócił przed biurko, bezpardonowo nalewając sobie bromu na dwa palce. Może i w przyszłości utraci płodność, ale za to skórę będzie miał gładką jak pupcia niemowlęcia.

— Możemy wrócić do mojej siostry?

— Oczywiście, że tak, Kasandro. Krótko podsumowując, uciekła z waszej rzeczywistości, ponieważ grasuje tam morderca, który poluje na pytie. Nie wiemy jednak, kim jest, ani jaki jest cel jego eskapad.

— Mam pewne podejrzenie. — Zaciągnęła się papierosem, a jej policzki delikatnie się zapadły, zarysowując jeszcze intensywniej ostre krawędzie twarzy.

— Sprecyzuje mi pani swoją myśl?

— Moja siostra, Sybilla, napisała niegdyś dziewięć woluminów, w których zawarto boskie przepowiednie. Jak radzić sobie przy klęskach żywiołowych, w przypadku wojny albo jak wygrać pierwszy ogólnokrajowy konkurs pierdzenia w Bożejowie...

— I jak go wygrać? — przerwał Guise, a Kasandra zmierzyła go marsowym spojrzeniem.

— To po prostu idiotyczny przykład tego, jaka potęga kryła się w księgach mojej siostry. Wracając, próbowała je niegdyś sprzedać królowi Tarkwiniuszowi za taką kwotę, że ten ją wyśmiał i uznał za wariatkę.

— Co było dalej?

— Trzy księgi z dziewięciu wrzuciła do ognia i zażyczyła sobie za pozostałe tej samej ceny. Kiedy Tarkwiniusz znów jej odmówił, spaliła kolejne.

— I jaki jest finał tej historii? — zapytał, siorbiąc delikatnie schłodzony brom.

— Finalnie sprzedała ostatnie trzy woluminy za pierwotną cenę. Nikt jednak nie wie o tym, że wykiwała króla i sprzedała mu debilne greckie przypisy religijne, które zaczęli traktować jak świętość. Z kolei Sybilla została posiadaczką niemałej fortuny.

— Sądzisz, że Tarkwiniusz dowiedział się o tym przekręcie i przeprowadził wendettę na wszystkich pytiach?

Nie odpowiedziała, zajmując rozdygotane usta filtrem papierosa.

Arlekin zadumał się na moment, patrząc gdzieś w dal. Odleciał w osobliwy trans myślowy, szukając końca w tym pogmatwanym kole sprawy.

Kobieta pozwoliła sobie na wzięcie łyka ze szklanki śledczego, czując, że musiała skupić uwagę na najbliższym otoczeniu. Ta narastająca niepewność oraz bezowocność w działaniach sprawiała, że traciła panowanie nad sobą. Burzyła względną maskę femme fatale na poczet gówniarskiego rozwydrzenia, ale czy to coś złego? Czy ktokolwiek jej się dziwił w takiej sytuacji?

— Mam pewien pomysł, kto może nam pomóc — odezwał się mężczyzna.

— To w tamtym momencie wykorzystałaś Franka po raz pierwszy w sposób nieautoryzowany?

— zaindagował przewodniczący.

Zamiast ściany, za plecami Guise'a stało ogromne lustro weneckie, za którym spoczęła reszta członków Komisji Weryfikacyjnej, mającej wydać werdykt przeciwko śledczemu.

— Tak, niestety tak. Nie mogłem uzyskać zgody, ponieważ pan...

— Wiem, gdzie byłem — uciął natychmiast. — Dobrze wiesz, że jeśli podwładny nie ma wyraźnego zezwolenia od przełożonego, ma czekać. Choćby miało to trwać przez tysiąc i jedną noc.

— To samo powiedziałaś, wielki Myrddinie, gdyby chodziło o twoją siostrę?

Myrddin ścisnął usta tak, że zbieleły od narastającej furii. Dawno się nie spotkał z taką niesubordynacją ze strony przełożonego.

— Nie chodziło też o twoją siostrę...

— Tylko siostrę mojej klientki. Nie mogłem jej zostawić bez słowa.

— Mogłeś ją zostawić z dwoma słowami: „poczekaj chwilę”. Gdybym wrócił i zorganizowalibyśmy większą drużynę, uniknęlibyśmy tragedii oraz twojej wizyty przed Komisją.

Korytarz, którym szedł Guise z Kasandrą, nie był zwyczajnym korytarzem. Pełnił również funkcję osobiwego panoptikum, gdzie stały nadzwyczajne klamoty, relikty i obiekty związane bezpośrednio z działaniami Firmy.

Dziewczyna minęła już figurę szmuglera zamrożonego w karbonicie, zawiesiła oko na książce pod tytułem „Dzienniki Walikonii”. Straciła na moment rezon, widząc przezroczysty pojemnik z żółtą flegmą w środku. Przytwierdzona do ścianki tabliczka znamionowa mówiła coś o ostatniej porcji melancholu dla melancholików, ale niewiele z tego zrozumiała.

— A ten miecz? Ten, co tu wisi na ścianie? — zapytała kobieta, goniąc śledczego, który jej wciąż i wciąż uciekał, nie pozwalając się pozachwycać dziwami niewidami.

— Że ten, tamten? To króla Artura — skonstatował, zupełnie niewzruszony fantastycznymi gadżetami.

— Nie, ten obok.

— Ach, zabawna historia się za nim chowa. To ostrze, które odmieniło życie człowieka na zawsze i nie ma w tym grama przesady.

— Zabito nim kogoś arcyważnego?

— A tam, zabito. Ktoś nim rozciął dół pleców i tak powstała dupa.

Kassandra oszczędziła sobie dodatkowych, zapewne pikantniejszych szczegółów.

Guise, dopiero po blisko kwadransie spaceru przez niekończący się szyb, zwolnił kroku, wzrokiem szukając tego „kogoś”. Dziewczyna mimowolnie również skanowała spojrzeniem szereg figur oraz marmurowych spodeczków, na których trzymano pamiątki po misjach Instytutu.

— O, tu jest! — krzyknął Arlekin i podszedł do postaci przypominającej robota. Takiego karykaturalnego, bardziej przerysowanego od Blaszanego Drwala z Krainy Oz. Srebrny korpus i matowe kończyny, z których wystawały różnokolorowe przewody. Zamiast oczu, dwie płaskie żarówki. Te zresztą po chwili zapulsowały ciepłym światłem, jakby Guise uruchomił w robocie alarm antywłamaniowy.

— Droga Kasandro, poznaj Franka! To robot śledczo-protokolarny, który pod kopułą trzyma komputer kwantowy! Tak, też mnie to dziwi, jak takie potężne diabelstwo zmieszczono pod tym blaszanym garnkiem.

— Akurat to cię dziwi? — zaindagowała kobieta, unosząc sugestywnie brew. — Mogę wiedzieć, do czego nam jest potrzebny Franek?

— Widzisz, robot ten łączy w sobie umiejętności najtęższych jegomościów przynależących do FIRAN-y! Jedną z jego zdolności jest prorokowanie godne samego Nostradamusa. Tylko musimy poczekać na aktualizację.

— Aktualizację?

— Tak, wgrzywa mu się update. Cholerny Microsoft...

— I o co zamierzasz zapytać Franka, jak już się wgra do naszego towarzystwa?

— O to, czy uda nam się znaleźć twoją siostrę. Czy nasze poszlaki są trafne i czy wszystko skończy się isticie baśniowo.

— Baśniowo, to znaczy?

— To znaczy, że będziemy żyli długo i szczęśliwie.

— Przeraza mnie twój niezdrowy optymizm, Arlekinie. Jakbyś bez większej iskry przejęcia angażował się w sprawę mojej siostry. Myślę, że nawet sprawia ci to frajdę...

— Lepiej nie myśl tyle, bo myśliwym zostaniesz — wykrztusił z siebie mężczyzna, ledwo hamując się przed drwiącymi manierami w głosie.

Robot znowu zamrugał żaróweczkami, aż w końcu zaświeciły stałymi iskierkami. Szczęka zamontowana na dwóch śrubach zaskrzypiała nieprzyjemnie. Najwidoczniej Franek dawno nie konsumował WD-40.

— Dzień dobry, śledczy Guise. Dzień dobry, Kasandro. Widzę, że czeka na nas nowe zadanie

— przywitał się robot formalistycznym tembrem, choć sama barwa głosu była niezwykle przyjemna dla ucha.

— Skąd on mnie zna? — zapytała rudowłosa, patrząc raz na blaszaka, raz na chłopaka.

— Zapewne Morrigan wklepała twoje akta do bazy FIRAN-y.

— Wklepała? Przecież ona to notowała na kartce.

— Zaczarowany ołówek — podsunął odpowiedź blaszak i zszedł z marmurowego piedestału, aby stanąć na równi z ekscentryczną parą. — Możecie zadać pierwsze pytanie.

— O co chodzi z tymi całym „symulakrum”, o którym mówiła wasza recepcjonistka? — Wyrwała do przodu Kasandra. — Używała tego...

— ... Wiem, fraza „symulakrum” posiada u nas dwojakie znaczenie i opisuje ono jednocześnie fantazmat, jak i świat fantazmatu — odpowiedział Franek. — Pozwala nam to odróżniać istoty fantastyczne od postaci fantastycznych-realnych, to znaczy, od person wywodzących się z tego świata.

— Nie tylko person. Zjawić się może u nas zwierzę, duch, organizm albo...

— Sądzę, że ona wie, o co chodzi, Arlekinie. Chciałem po prostu ociosać odpowiedź ze zbędnych ozdobników.

— Obudził się w tobie poeta, Franku? — zagaiła ni to filuternie, ni z zafrapowaniem kobieta.

— Chcesz usłyszeć fraszkę?

— Franek, dość! — uciął śledczy i rozpiął guzik pod szyją, czując, że koszula zaczyna go dziwnie uwierać. Albo to jednak kwestia zazdrości, której nie zdołał jeszcze u siebie w pełni zidentyfikować.

— Proszę więc zadać mi pytanie. Związane jednak z naszą misją.

— Gdzie znajdziemy moją siostrę?

— Ponów pytanie.

— Źle je zadałaś, Kas — wtrącił się mężczyzna i to on stanął przed stalowym kamratem. — Czy w sprawę jest zamieszany król Tarkwiniusz?

Robot się zamyślił, zamrugał światłami, gdyż nie posiadał powiek, i przerabiał stos informacji. Mielił oraz poruszał ciężko szczęką, jakby miało mu to pomóc posegregować zdigitalizowane treści.

Kasandra mimowolnie się zatrzęsała, odsunęła od robota. Nie wiedziała, co ją bardziej przeraziło: enigmatyczność droida czy może dziwny spokój Guise'a?

— Czemu moje pytanie było złe?

— Należy mu zadawać pytania, na które można odpowiedź tak lub nie. Dzięki temu aż tak się nie przegrzewa.

— I akurat na takie problemy zna odpowiedzi?

— Czy zna? Raczej nie. Ale przypuszcza i to niezmiernie trafnie. Przewertuje wszystkie możliwe scenariusze, żeby na końcu przedstawić nam zadowalający werdykt.

— A skąd wiesz, że będzie miał racje?

— Sądzę, że komputerowe algorytmy mają większy sens niż wróżenie z fusów. — Arlekin zaśmiał się, ale widząc, że rudowłosa nie podzieliła jego entuzjazmu, z miejsca ochłonął.

— Według moich obliczeń Tarkwiniusz nie miał powodów do uprowadzenia Sybilli — odezwał się w końcu robot. — Mitologia mówi, że król był zadowolony z przeprowadzonej transakcji, a sfałszowane woluminy miały dla niego ogromną wartość, nie mógł więc się poczuć oszukany. Proszę o następne pytanie.

— W ile pytań dojdziemy do rozwiązania? — zagaił Guise.

— W cztery.

— Czyli już jedno wykorzystałem?

— Teraz to w trzy.

— Jaka jest skuteczność twoich sugestii? — zapytała zza pleców śledczego, przystając na palcach, aby ujrzeć robota przez męskie ramię. Wzbudzał w niej niemałe wątpliwości, strach. Przerażenie.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procenta. A może nawet więcej.
- Może? — prychnęła siarczyście, aż Arlekin poczuł kobiecą ślinę na karku.
- Zostało ostatnie pytanie do odnalezienia rozwiązania.
- On wie, gdzie ona jest — szepnęła na ucho Guise'a. — On się nami bawi.
- On po prostu analizuje. I to cholernie skutecznie. Musimy po prostu zadać odpowiednie pytanie...
- To nonsens! Przecież możemy go zapytać teraz o to, czy pójdziemy się nastukać ziołem pod wieczór i już złamiemy jego schemat działania! Bo to w żaden sposób nie nakieruje nas na odpowiednią drogę... chwilka.
- Franek działa holistycznie i nieobliczalnie. Wpędza ludzi w popłoch oraz rozemocjonowanie, otwierając w pamięci takie zapadki, o jakich nie wiedziałaś... — Guise nie mógł dokończyć wyводу.
- Kasandra wyszła przed twarz blaszaka, spojrzała się głęboko w dwa świecące halogeny i zapytała:
- Ziółko pod wieczór... Sybilla pojechała po oleander do Delf, prawda? Ona jest w Delfach?
- Według posiadanej wiedzy przypuszczam, że właśnie tam może przebywać. Ewentualnie spotkamy kogoś, kto wie, gdzie znajduje się pani siostra. W naszym świecie Delfy to jeden wielki squat dla narkomanów, nałogowców oraz mętów wypartych przez zaściankowe społeczeństwo.
- Wypierani są przez ćpanie? — zapytał zaintrygowany Guise.
- Nie. Są wypierani dlatego, że są symulakrum w świecie rzeczywistym.

Delfy były prawdziwą perłą w turystyce Grecji. Kraina leżąca u stóp góry Parnas zachwycała trasami spacerowymi wśród stanowisk archeologicznych. Rzymskie forum, skromny, acz ujmujący dumą i pięknem Skarbiec Ateńczyków. Nie można było zapomnieć o Świątyni Apollina rozciągającej się pod klifami Phaedriades. Jednak najbardziej znaną atrakcją pozostałości po greckiej kulturze okazał się słynny teatr w Delfach! Tylko był dziwnie niepodobny do siebie.

Niby theatron taki sam, resztki proskenionu również bez zmian, ale orchestra, placyk dla chóru, wyglądał nader dziwnie. Kwestia nowych odłamków skalnych? Pęknięć na płycie gruntu? A może to przez tę czerwoną budkę telefoniczną, która stała w samym centrum orchestry? I fakt, iż w jej wnętrzu siedziała kobieta z dwoma mężczyznami, w tym jeden był nagi, eksponując blaszany tors? Tak, to trochę zaburzało pojęcie helleńskiej architektury.

Trójce dziwolągów z brytyjskiej kabiny telefonicznej przypatrywał się mężczyzna w skórzanej eksomidzie bez rękawów. Odzienie zostało idealnie skrojone pod panującą w Delfach pogodę: słońce prażyło tak, iż Guise prawie wyschnął jak ziarno kukurydzy pod pokrywką patelni.

Tunika idealnie wkomponowała się również w niewspółczesny klimat otoczenia, tylko ten blant w ustach bezimiennego dziwnie zaburzał wyobrażenie anachronicznej Grecji.

— To jest jakiś aktor? — zapytał Guise droida, ten z kolei pokiwał przecząco głową.

— Symulakrum. Dlatego jeszcze nie spanikował na widok naszej budki telefonicznej.

— U was to chyba każdy z fantazmatów wyparł pojęcie „dezorientacji” — fuknęła Kasandra, odklejając policzek od przeszklonej ściany.

— Wyparliśmy „normalność” — powiedział Arlekin, po czym otworzył drzwi i wyszedł na środek placu teatralnego. — *Kaliméra*, bracie!

— Nie popisuj się greką, idioto. Zapomniałeś, że każde z nas, fantastycznych cudaków, mówi tym samym językiem? — Mężczyzna w tunice zaciągnął się skrętem i odrzucił delikatnie głowę do tyłu, pozwalając zafalować kręconym włosom. Twarz miał idealnie ogoloną, dzięki czemu czarująco eksponował przesadnie zarysowaną szczękę. Jakby całe życie robił za dziadka do orzechów.

— Chciałem po prostu uhonorować twoje tradycje, zasymilować się, takie tam.

— Może jeszcze zorbę odtańczymy?

— Może już sobie darujemy te kąśliwości i przejdziemy do meritum sprawy? — Zainicjowała pertraktację rudowłosa i stanęła na czele trzyosobowej ekspedycji. — Ty nam powiesz, gdzie jest moja siostra, a w zamian damy ci spokój i zabierzemy budę telefoniczną z centrum teatru. Przystojny Hellen zagwizdał jak robotnik znęcający się seksualnie nad dziewczyną przechodzącą obok rusztowania. Momentalnie nabrał ochoty na podjęcie przyjacielskich stosunków z nowoprzybyłymi.

— Panienko! Czuję, że będziemy musieli podejść do najbliższej baszty strażniczej. Zgłoszę fakt, iż skradłaś moje serce — zarechotał obleśnie cesarz podrywu i podszedł do kobiety. Był to zdecydowanie nieprzemyślany krok, bo już po chwili utracił zdolności reprodukcyjne przez jeden szybki ruch kobiecej nogi.

Mężczyzna padł na kolana, ściskając w dłoniach pogruchotane kamienie małoszlachetne.

— Teraz będziesz mógł jeszcze zgłosić żandarmowi znęcanie się nad zwierzętami — wycodziła przez zęby i pociągnęła mężczyznę za kudłaty łeb, aby spojrzeć się w jej oczy, w których grzmiało od narastającej furii. — Sybilla Kumańska. Pytia, zapewne przynależąca do waszego fantazmatycznego penerstwa. Gdzie ją znajdziesz?

— Kas, nie tak ostro — przypomniał o swojej obecności Arlekin, kładąc dłoń na jej ramieniu. Utracił kontrolę nad całą operacją, a dodatkowo czuł, że na jego osobę nałożono pelerynę niewidkę. Okazał się zbędny dla Kasandry. W sensie, dla misji Instytutu. Bo o to właśnie mu chodziło...

— Nie wtrącaj się, Guise. Jesteś za miękki na tę grę. A ten frajer coś wie o Sybilli, czuję to.

— Wstrętna hetero! Sram na twoje potrzeby — bełkotał, nie bacząc na to, że do ust miał przyklejone resztki glizy.

— Wydlubię ci oko. — Wystawiła palec z ostro zakończonym paznokciem, przypominającym orli szpon.

— Dupa, dupa, dupa!

Krzyk. Przeciągle wycie, jakby ktoś wylał wrzątek na psi grzbiet.

Hellen padł na ziemię, chowając krwawiący oczodół za bandażem palców. Starał się zatamować potok juchy, przywrócić wzrok, uśmierzyć ból, ale dociskanie dłoni do twarzy wcale nie pomagało.

— Chyba mieliśmy przed chwilą do czynienia z syndromem Kasandry — rzekł beznamiętnie Franek, po czym pomógł Arlekinowi w pacyfikacji ryżej awanturniczki. Guise, krótko po ataku kobiety na palacza, wykręcił jej ramię i przygwoździł ją do popękanych płyt orchestry. Ta rwała się pod bezlitosnymi objęciami śledczych, próbowała zepchnąć ich z pleców. Na próżno.

— Uspokój się wariatko! — wydyszał w ucho rudowłosej, silniej naciskając na staw w jej ramieniu. Ta zawyla z bólu.

— Przestań, złamiesz! — załkała. Załkał też rzewnymi, krwistymi łzami przystojny Hellen.

— Franek, przejmij ją. Ja muszę pomówić z naszym jednookim Grekiem.

Droid bez obiekcji ujarzmił kobietę za pomocą żeliwnych ramion, w których siły mógł mu pozazdrościć kulturysta o pseudonimie Jaglak.

Guise przysiadł przy mężczyźnie, wyjął z kieszeni materiałową chustę.

— Masz, przytknij to do rany. Za chwilę wezwę pomoc, tylko mi powiedz, gdzie znajdę Sybillę.

— Wy chore pokurwy!

— Mów, gdzie znajdę Sybillę i daję ci spokój. No, piękny, mówisz.

— Ruiny Sanktuarium Ateny Pronaja. Akurat organizujemy tam mele z habadżudżu — Przystojniak pociągnął nosem, przełknął zebrane gluty. Chusteczka wręczona przez Arlekina już dawno zmieniła kolor z białej na szkarłatny.

— A kim jest habadżudżu? Ktoś ważny?

— To taki slang, o ziolo cho-chodzi — wysapał.

— No, zuch chłopak. A teraz maszeruj do budki telefonicznej, wciśnij zero na cyferblacie. Tam będą na Ciebie czekać odpowiednie służby. A, właśnie! Franek! — zawołał do droida, który bez wysiłku przytulał rudą do gruntu. — Weź ją ze sobą na Firmę. Wrócę do was z Sybillą.

— Nie! Ja idę z tobą! Z TOBĄ! — krzyczała niewyraźnie, wciąż trąc policzkiem po kamiennych kaflach podłoga. — Muszę się zobaczyć z siostrą!

— Zobaczysz w FIRAN-ie. Zwijaj ją, Franek. Ja też ruszam.

— Jesteś pewien, Guise? Na pewno chcesz ruszyć samemu? — zapytał droid. Po raz pierwszy w jego głosie rozbrzmiała obawa.

— A co, mam pójść z kimś?

— Ponów pytanie.

— Pierdol się, Franek. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Nie wiadomo, kiedy znowu dorwiemy Sybillę.

W końcu odzyskał panowanie nad sytuacją. Udowodnił samemu sobie, że był cholernym Arlekinem Guisem, agentem wydziału zaginionych fantazmatów. Ujął niegdyś Jeźdźca bez głowy, odnalazł Gandalfa, który nie wrócił po pięciu dniach o świcie. Żadnym wyzwaniem więc nie będzie scalenie rodziny mitologicznych wieszczek. On, najmłodszy śledczy w Firmie, da sobie radę bez nadzoru tych starych pyszałków.

Przez chwilę przestał być bohaterem pierwszoplanowym w tej pogmatwanej sprawie. Kasandra okazała się bardziej żywiołowa od niego, Franek zgrywał inteligentniejszego, a Hellen... no on po prostu przyćmiewał urodę Guise'a. Ale teraz! Teraz kiedy został sam na ziemi delfickiej, mógł w pełni zaabsorbować całą scenę dla siebie. Udowodnić własną wartość i istotę w tej sprawie. Jeszcze tylko wbić w GPS-a lokalizację Sanktuarium Ateny Pronaja i można zmierzać do finału krótkiej, acz dzikiej peregrynacji.

Niebo nad Delfami schowało się za kotarą późnego popołudnia; całun ciemnych chmur przysłonił wygasające promienie słońca, a chłodne podmuchy wiatru przetrzebiły resztki ciepła. Zimno, buro i ponuro.

Arli czuł, że węzły chłonne na szyi nabrzmiały, nos delikatnie się przytknął, a dobre samopoczucie zaliczyło solidne wykopytkowanie. Brało go przeziębienie, ale co się dziwić. Cały dzień szorował w przepoconej koszuli, wystawiając się albo na przegrzanie, albo na lodowate wichry Parnasu. Do tego jego psychika stale wykonywała skoki na bungee, raz łechcąc ego, a raz dolewając kolejne porcje dziegciu do słoja z niedowartościowaniem. I choć na początku wierzył w sukces misji, tak teraz nie wiedział, jaki będzie koniec tego wszystkiego. Zwątpienie we własne siły? Może to po prostu kolejny objaw przeziębienia, zwyczajowe osłabienie mięśni?

Na horyzoncie zamajaczyły ruiny świątyni tolosowej. Ponad fundamentem sanktuarium stały trzy doryckie kolumny, podpierające ostatni fragment marmurowego belkowania. Nie to jednak zrobiło wrażenie na śledczym.

Największą atrakcją ruin okazała się tutejsza bohema, nad którą krążyły miazmaty palonej marihuany oraz oleandra. Młodzi mężczyźni i piękne podlotki w tunikach bujali się w transcendentalnym tańcu. Pozwalali sobie przepalić mózgi dopaminą. Tracili poczucie rzeczywistości przez narastającą synestezję, wyparowywali z własnych ciał.

Pośrodku świątyni tańczyła dziewczyna w obcisłej miniówce, idealnie podkreślającej jej odstające obojczyki oraz kości bioder. Ruchy ciemnowłosej przypominały lawirujący w powietrzu liść. Dała się prowadzić wyimaginowanej antygravitacji, nieprzytomnemu błędnikowi oraz narkotycznemu odurzeniu. Eteryczna szczupłość i brak wyraźnie

wykonturowanych atutów dodawał jej nie lekkości, a urzekającej nieważkości. Podniecającej subtelności, intrygującej powściągliwości.

Guise podszedł do niej, ujął jej dłoń w swoje palce, okręcił delikatnie. Ona zawirowała jak porcelanowa balerina w szkatułce. Pozwoliła się prowadzić za rękę o skórze tak cienkiej, że niemal przezroczystej.

Woń spalonej marihuany zanurzyła go w kadzi przyjemności.

— Nigdy wcześniej nie widziałam cię w Marmarii — powiedziała czarnowłosa. Jej głos odbił się echem w głowie mężczyzny.

Czuł, że lada moment padnie na zawał. Język i usta wyschły, nie potrafił nimi poruszyć. Mózg zalała fala serotoniny. Słabo widział, ledwo słyszał.

— Marmarii? — zapytał zamroczony.

— Tak mówiono na kamieniołom, z którego pozyskiwano marmur przeznaczony na budowę tej świątyni.

— Jak potrafisz mówić tak spokojnie w tej ekstazie? — Mimowolnie zarechotał, zatoczył się. Filigranowa dziewczyna objęła go w pasie i utrzymała w pół pionie. Przypominał krzywą wieżę w Pizie.

— Zostałam wychowana w oparach oleandry.

Oleander... opary... Sybilla. To ona? Zupełnie niepodobna do siostry. Kompletnie przeciwieństwo. Słońce i księżyc. „Słoneczniki” oraz „Gwieździsta Noc” Van Gogha. Choć był florystą-amatorem i wybór ulubionego obrazu wydawał się oczywisty, to w tym momencie w pełni pokochał oniryczny, granatowy pejzaż. Ciemny, mroczny, piegowaty od świetlistych gwiazd.

— Szukałem cię...

— Pewnie całe życie? — Wykrzywiła wargi w szelmowskim uśmiešku. Kąśliwym i niebezpiecznym, a jednocześnie ujmującym. Ciągnęło go do tej dziwaczki.

— Tak, tak właśnie czuję...

Sybilla wciąż go nie puszczała, zastygli w ciepłych objęciach. Słyszeli kolory własnych oczu, smakowali bicia serca. Chciał wymieszać ich DNA, złączyć usta, zasupłać razem niczym węzeł gordyjski.

— Czemu mnie szukałeś?

— Czy to teraz ważne, Sybillo?

Ta wzdrygnęła się i momentalnie odsunęła. Rozcięła ich więzy aleksandrowskim mieczem, wieńcząc krótki, egzaltowany mit.

— Skąd wiesz, jak się nazywam? — Miała rozbiegane oczy, przez jej twarz przebiegały dantejskie grymasy. Poszarzała, pomarszczyła jak limonka kaffir. Już nie była taka piękna oraz swobodna. Nabrała dziwnej ciężkości. Założyła na nogi cementowe buty znerwicowania,

w których zwiedzała toń własnej psychiki. — Hellen mnie zdradził? Tylko on wiedział, kim jestem.

— Przybyłem tu z polecenia twojej siostry, Syb, nie bój się. — Wyciągnął do niej rękę, a te zaczęły się dwoić w jego oczach. Halucynacje nabierały nieprzyjemnej intensywności.

— Przeprowadziłeś ją tu? Boże, przeprowadziłeś... — Jej głos dygotał, jakby próbując się dostroić do któregośkolwiek z wysokich, operowych tonów.

— Zależy nam na tobie, naprawdę. Chcemy, żebyś wróciła do domu. Powiedz mi, kto cię ściga, kogo się boisz?

Bohema młodocianych ćpunów dalej tańczyła wokół nich, ścisnęła. Przekraczała strefę komfortu, wytrącała z równowagi. Nie mieli już na sobie tunik, panowała nagość biała jak sól. Czuł się, jakby wtrącono go do piekielnego kotła: gar był pękaty od ludzkiego mięsa, polanego płynami ustrojowymi, robiącymi za bulion. Żar własnych grzechów i bezceństwa nieprzyjemnie przypalał pięty, którymi szurał po dnie kociołka. Myśli mężczyzny wróżyły blizny. Intuicja zareagowała za późno.

Bezwiednie padł na ziemię, czując tępy ból w okolicach potylicy. Oczy wirowały jak globus zakręcony przez rozwyrzonego czwartoklasistę na lekcji geografii.

Wzrokiem dostrzegł, jak ruda burza loków płynnym ruchem rozcięła szyję Sybilli. Po bladej, półprzeźroczystej skórze rozlał się nawał krwi. „Gwieździsta Noc” przegrała ze „Słonecznikami”.

Rudowłosa przykucnęła przy leżącym śledczym. Pozwoliła mu przejechać rozkojarzonym wzrokiem po jej zakrwawionych palcach o szponiastych paznokciach.

— Twoje imię wiele o tobie mówi, Arlekinie. Naprawdę jesteś przekomicznym błaznem. Szkoda tylko, że sprytu miałeś tyle, co kot napłakał.

— Czemu... — Porażenie nerwów twarzowych na chwilę odpuściło, pozwalając roznieść się bólom po opuchniętych wargach.

— Franek był naprawdę dobrym robotem. Znał się na mitologii, nie bez kozery rzucił hasłem „syndrom Kasandry”. Zapomniał jednak ci wspomnieć o mojej przeszłości. O tym, że Apollo wręczył mi dar jasnowidzenia. Sęk w tym, że nie odwzajemniłam miłości tego żalosego bożka, więc w ramach zemsty sprawił, że już nikt nie uwierzył w moje przepowiednie. Stałam się symbolem nieszczęścia oraz kłamstwa. Co rude, to fałszywe — zaśmiała się z własnego żartu, po czym ujęła między brudne palce podbródek Guise'a.

— Zabiłaś ją z zazdrości?

— Widzisz, jakie to proste? Skoro nikt nie chciał ufać mi, to czemu mają ufać jakimś żalosem, przećpanym pytiom? Zresztą, takie niby z nich dobre wieszczki, a nie przewidziały, że zarobią żelazem pod żebro.

Poczuł nad policzkiem ciepło bijące z ust rudej morderczyni; poczuł jej ciepłe, pełne wargi na swoich wargach. Poczuł, że odpływa w objęcia Morfeusza.

— Jeszcze się kiedyś spotkamy. W tę przepowiednię możesz uwierzyć.

Za oknem celi panowała pluwialna pogoda. Grzmiało i huczało, podobnie jak w psychice młodego Arliego, który przez jedną porażkę stracił posadę oraz zaufanie Firmy. Do tego został oskarżony o współudział w morderstwie Sybilli, przystojnego Hellena i poważnego okaleczenia Franka. Nie to jednak rozsypało firmament psychiki Guise'a.

Bolało go to, że spełniły się jego największe koszmary. Był nikim, bez sukcesów czy przyjaciół. Bez miłości. Wszystko, co osiągnął, przepalił w ogniu blamażu. Skończył jak Tantal w swoich mękach: cierpiał od niemożności zaspokojenia pragnień, które niby były na wyciągnięcie ręki, ale wciąż okazywały się dziwnie niedostępne.

Nagle zamek w drzwiach celi zachrzęcił, puścił pod naporem nieznanej Arlekinowi siły.

W świetle ościeżnicy stanął przystojny mężczyzna, przypominający swoimi rysami martwego Hellena z Delf.

— Wierzysz w odkupienie, Guise? — zapytał bez pardonowo nieznajomy, zbliżając się do pryczy, na której siedział eks śledczy.

— To zależy. Przysłał cię Myrddin?

— Przysłała mnie osobista wendetta. — Grek uśmiechnął się półgębkiem i wyciągnął dłoń niczym Bóg na obrazie „Stworzenie Adama”. — Mamy wspólną przyjaciółkę, Guise. Nazywam się Apollo.